

Nikt w życiu nie pozwolił mi dowiedzieć się o sobie tyle, ile Moi Uczniowie

Agnieszka Nietresta-Zatoń

Kiedy wchodziłam do ogromnej osiedlowej szkoły, w której właśnie ruszyło gimnazjum, niczym nie różniłam się od nich. Trampki, bluza z kapturem, niedbale zarzucony na ramię plecak. No dobrze, byłam niższa. We wrześniu, kiedy pojawiały się kolejne I klasy, z perwersyjną przyjemnością wybierałam wejście przez szatnię, żeby roztopić się w tłumie, trochę popodsłuchiwać, o czym mówią – zawsze podsłuchuję: kiedy pisze się książki, artykuły prasowe, uprawia copy- i webwritting, żywy język jest jak narkotyk... – dać się szturchnąć i obsztorcować (*Gdzie się ryjesz, laska? Ślepaaa???*).

Bezszerowo docierałam do pokoju nauczycielskiego, pobierałam dziennik (wtedy jeszcze w wersji papierowej), klucz z masywnym breloczkiem i człapałam do sali. Wróc: nie tak od razu człapałam. Odczekiwałam tę chwilę, kiedy wybrzmi dzwonek, i pojawiałam się pod drzwiami, gdy zniecierpliwiona młodź gimnazjalna już nabierała nadziei, że babki nie ma. Więc (tak, wiem, nie zaczyna się zdania od więc) znów przepychałam się przez dziatwę, otwierałam drzwi i wchodziłam. Dopiero wtedy ściągałam kaptur i zapraszałam ich do środka. Gwar milkł, niektóre twarze na przemian bladły i zieleniały (te od ślepych lasek) i dziatwa w nabożnym skupieniu rozchodziła się do ławek. Wykorzystywałam moment zaskoczenia, żeby podejść do każdego i się przedstawić:

– *Mam na imię...*

Najpierw z wrodzonej przekory i wiecznego buntu (*bunt się nie kończy, bunt się ustatecznia*), a potem już świadomie i z premedytacją, przez lata pracy w gimnazjum fundowałam Moim Uczniom szkołę marzeń – moich marzeń. Po latach dowiadywałam się, że ich także. W drugim roku pracy wraz z kilkoma zaprzyjaźnionymi belframi napisaliśmy autorski program nauczania i autorski program wychowawczy. To były czasy... Rutyniarze nie mogli się nadziwić, że chce nam się „bawić w takie rzeczy” i dobrowolnie rezygnujemy z darmowych podręczników wraz z obudową (gotowe, wszystko gotowe!), a nawet skórzaną teczką. Wydawnictwa przypuściły wtedy pierwszy atak, plakaty z wizerunkami wieszczów i mapy pakowane w gustowne tuby miały niezłe branie.

Jest 1 września 2030 r.

Gdybym wciąż pracowała w szkole, gdyby „dobra zmiana” nie zmiotła z powierzchni ziemi gimnazjów – tej wprost stworzonej dla mnie niszy, w której już-nie-dzieci, a jeszcze-nie-dorośli mogli walczyć z własnymi demonami pod czułą opieką dobrych i mądrych dorosłych, na liście Uczniów na pewno odnalazłabym znajome nazwiska. Jak to w osiedlowej szkole – to byłyby Dzieci Moich Gimnazjalistów. Mam nadzieję, że byłyby tak samo zadziorne, uparte, ciekawe świata, zbuntowane, chętne do zadzierzgiwania więzi i podtrzymywania relacji, odporne na manipulację, bezkompromisowe. Ale równocześnie niepewne swojej wartości, borykające się z niełatwym zadaniem znalezienia swojego miejsca w rodzinie, grupie rówieśniczej, w relacjach z nauczycielami.

Tak chętnie powitałabym ich w progu szkoły marzeń.

Doświadczenie nauczyło mnie, że ponure skoszarowanie w trzech rzędach, w ławkach z widokiem na plecy sąsiada nie jest dobrym rozwiązaniem. Lubię patrzeć ludziom w oczy. Ludzie lubią patrzeć sobie w oczy. 1 września 2030 r. każdy Zespół Klasowy (albo zadaniowy – podział na liczne oddziały dzieci w tym samym wieku wydaje mi się sztuczny i anachroniczny) powinien mieć albo swoją salę lekcyjną na stałe, albo nieograniczony dostęp do sal tematycznych. Powinny być urządzone tak, żebyśmy wszyscy czuli się w nich komfortowo.

Żeby dzieci B. nie musiały kryć się po kątach z komiksami, które zabrały tacie z półki, dziedzicząc nie tylko jego miłość do precyzyjnej kreski i alternatywnego świata superbohaterów, ale i niezwykły talent pisarski i mogły swobodnie czytać (tata na pewno już dawno po debiucie, może i Nike puka skrzydłem w okno gabinetu...). Żeby dzieci Z. – jeśli, nie daj Boże, odziedziczyły po niej tendencję do zaburzeń lękowych – nie musiały włożyć pod ławkę i nakrywać głowy kurtką, tylko mogły zwinąć się w kłębek na kanapie pod kocem i przeczekać atak demonów. Żeby dzieci M. miały duży blat do rysowania (kiedy M. rozkładał się na ławce, wciąż spadały mu ołówki...). Żeby dzieci... Żeby każdy z nas, bo Zespół Klasowy albo zadaniowy to nie Oni i ja, tylko my, czuł się tu dobrze.

Teraz moglibyśmy się lepiej poznać. Pewnie znowu miałabym na sobie trampki i bluzę z kapturem (ot, taka jurna babcia...) i znów, ruchem mojego ukochanego Johna Keatinga ze *Stowarzyszenia Umarłych Poetów* wskoczyłabym na... coś (ławek, mam nadzieję, by nie było) i może usłyszała konfidencjonalny szept: *No, mama mówiła, że ona jest dziwna...*

Myślę, że gdzieś za miesiąc byłabym w stanie zdecydować, w jaki sposób moglibyśmy zajmować się tym, co w naszym planie lekcji nie nazywa się już „J. polski” tylko... – nie mam pomysłu; może powinniśmy sami jakoś nazwać te spotkania, a może nazwa w ogóle jest zbędna? Przez ten miesiąc słuchałabym ich i opowiadała im o sobie. Wiedziałabym już, kto woli pisać, kto słuchać, kto sam, kto w duecie, kto w stadzie, kto szybko, kto powoli... i kto uważa, że polski *jest gupi*.

Pewnie przez ten czas obejrzelibyśmy sporo filmów, czytałabym im głośno fragmenty moich ulubionych tekstów literackich i publicystycznych (ich Rodzice uwielbiali, kiedy na siódmej i ósmej lekcji siadałam po turecku na ławce i głośno czytałam, a za oknem zapadał senny jesienny zmierzch). Dotarlibyśmy na krańce internetu, okazałoby się, że oglądamy te same seriale na Netfliksie (mam nadzieję, że wciąż będzie funkcjonował...) i słuchamy tej samej muzyki na Spotify. Zobaczyliby mnie płaczącą podczas lektury ukochanych wierszy. Na pewno powiedziałabym im wtedy, że wiersz jest jak zagadka, którą na pewno uda nam się rozwiązać.

I nikt by nam nie wytykał, że robiąc to wszystko, popijamy herbatę z termicznych kubków, a po sali snuje się zapach domowego ciasta (wczoraj upiekł B., ten od komiksów – już się nie wstydzi, że to takie „niemęskie” zajęcie).

Tak, właśnie teraz okazałoby się, że coraz częściej mówią do mnie *wiesz, a słyszałaś?, chodź tu, zobacz!*

Nie, nie używamy ani podręczników, ani zeszytów ćwiczeń. Żadnych gotowców. Sami, jak za czasów mojego pierwszego programu autorskiego, przygotowujemy materiały dydaktyczne na bieżąco – cóż to za problem ściągnąć z sieci, skopiować, zeskanować, wydrukować, opracować graficznie. Każdy ma swój osobisty segregator – jeśli lubi staromodne metody archiwizacji materiałów naukowych – albo folder plików na ulubionym nośniku czy w sieciowej chmurze.

Nie, nie zawsze ja prowadzę zajęcia. Nie znam się na komiksach tak jak B. i jego dzieci, wciąż nie łyknęłam bakcyła. Dzieci B. przygotowują naprawdę pasjonujące warsztaty – chłonę jak gąbka każde ich słowo i daję się namówić na wyjście na kolejną edycję Comic Conu. Cóż z tego, że w sobotę: idziemy całym stadem, nas nie pokona nikt.

Ale zająć z gramatyki nie oddam lekką ręką! Bardzo lubię tłumaczyć gramatyczne zawiłości – prawie tak samo jak rozwiązywać zagadki z poezji. Ach, i jeszcze środa jest moja:

wtedy ukazuje się mój ulubiony tygodnik opinii i zawsze zaczynamy dzień od dyskusji nad jakimś pasjonującym artykułem.

Klasówek i testów z kluczem nie praktykujemy. Oceny odeszły do lamusa. Przyglądając się Moim Uczniom co dnia, doskonale widzę ich postępy i wiem, co sprawia im kłopot. Rozmawiamy o tym często, szukając sposobów na pokonanie trudności i szlifowanie świeżo odkrytych talentów. Oni także bez skrępowania mówią, że nie lubią, kiedy ja... – wtedy zastanawiamy się, co mogłabym zmienić w swoim podejściu do naszej współpracy, żeby nie skostnieć, nie popaść w rutynę.

Uczymy się od siebie nawzajem. Fakt, że *robię internety* i piszę kolejną powieść nie tylko ułatwia mi porozumiewanie się z dużo młodszymi ludźmi, ale przede wszystkim pomaga w płynnym przechodzeniu z języka literackiego na język wirtualnego skrót. No i nas nie oszuka nikt – świat zbudowany ze słów i obrazów nie ma dla mnie (teraz już: dla nas) tajemnic.

Chodzimy do kina na filmy kategorii A, B i Z, do teatru, na rozmaite eventy kulturalne z koncertami włącznie. Wszędzie tam, gdzie sztuka jest *odpowiednie dać rzeczy słowo*.

Zupełnie nie umiem sobie wyobrazić, że nasze spotkania dobiegną kiedyś końca...

Nie byłam sobie w stanie wyobrazić także tego dnia, w którym żegnałam się z Ich rodzicami. Likwidacja gimnazjów była już przesądzona. I Oni, i ja wymykaliśmy się skostniałemu systemowi. Oni – z nadzieją na wielki bunt w dobrych liceach, ja – z poczuciem końca świata.

Nie, za szkołą w jej archaicznej postaci nie można tęsknić, ale za ludźmi, z którymi znajduje się wspólny język – już tak. Jeszcze zdążyłam odebrać z drukarni ciepłe egzemplarze mojej książki i dać im na pożegnanie. Z dedykacją. Książki o szkole. Następnego dnia, już bez obaw, że nie wypada, pododawaliśmy się do grona znajomych na fejsie, zaczęliśmy się obserwować na Instagramie. Tylko te uszy na snapie jakoś mnie nie kręciły...

W jaki sposób my, Polacy, osiągnęliśmy ten cel w ciągu minionej dekady? Technicznie, logistycznie nie było to wcale trudne. Szkoły już od dłuższego czasu były całkiem dobrze z informatyzowane, dziennik elektroniczny okrzepł w swojej funkcjonalności, tablice multimedialne nikogo od dawna nie dziwią. Wygodne meble zasponsorował pewien skandynawski gigant...

Wydaje się, że warunkiem stworzenia naszym dzieciom szkoły marzeń był zmasowany oddolny ruch rodziców i nauczycieli, którzy rozpoczęli kampanię informacyjną pod hasłem: *Człowiek uczący się podbija świat. Człowiek nauczony przekona się, jak doskonale został przygotowany do życia w świecie, którego już nie ma.* (Eric Hoffer)

Do współpracy włączyły się szkoły wyższe. Nowy program kształcenia nauczycieli objął również obowiązkowe kursy psychologii i neurodydaktyki. A na każdym indeksie studenta nauk pedagogicznych wytłoczony jest teraz napis: *Nie ma dzieci – są ludzie* (Janusz Korczak). Bo nauczyciel musi po prostu lubić ludzi.

Długo zastanawiałam się, skąd znam hasło kampanii... W końcu znalazłam odpowiedź: to było motto naszego programu autorskiego sprzed lat...